



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubryniewicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

POGA WĘDKA.

— Dumny jestem z zaufania, jakim mnie pani obdarzasz, znając zaś mnie od dawna, możesz pani wierzyć w szczerość moich przekonań i przyjaźń nieklamana.

— Tak — i dałam dowód tej mojej wiary, zwracając się do pana w dzisiejszym mojem strapieniu. To dziwne jednak: ja — kobieta, czując potrzebę podzielenia się tem, co mnie boli, pragnąc jakiegoś przyjaznego serca, spowiedzi, wypowiedzenia się — stoję przed panem, przed mężczyzną, zamiast przed podobną do siebie istotą, przed którą — z natury rzeczy — powinnam być więcej szczerą, więcej otwartą.

— Czy pani nie masz przyjaciółek?

Oczy młodej kobiety zatrzymały się na mnie, a ledwo dojrzały uśmiech koralowe usta poruszył.

— Przyjaciółek? — szepnęła.

— Tak!

— A panu jak się zdaje?

— Cóż ja sądzić mogę!... Wiem tylko, że kobiety zaprzyjaźniają się łatwo, że po kilkakrotnem widzeniu się bardzo często już mówią do siebie po imieniu; — sądzę więc, że wśród tego liczego grona o przyjaźń nie trudno.

— Na pozór tak by się wydawało.

— A w rzeczywistości, jak jest?

— Zwróciłam się do pana — odpowiedziała po chwili.

Chodziliśmy w lipowej alei, słoneczne plamy kładły się nam pod nogami, leciuchny wiaterek liśćmi potraçał i szumiał i wzdychał w krzewach przekwitłych jaśminów.

— Przyjaźń! — mówiła jakby do siebie. — Ja wiem, że pomiędzy mężczyznami, to piękne uczucie bywa nieraz bardzo silne, że przetrwa ogniowe pró-

by i lata całe. Zrywa się czasem ten węzeł przyjaźni, lecz do tego wielkiej wagi przyczyn potrzeba. U nas przyjaźnie zawiązują się szybko, lecz i rozwiązują się szybko, niepozostawiając po sobie śladu najmniejszego bólu, prócz chwilowego gniewu lub niechęci. Dalej trwa stosunek na pozór serdeczny zawsze, w rzeczywistości zimny i obojętny. Powiadają, że kobiety lubią tajemnice. Tak — bo nie mają przed kim wywnętrzyć się, bo pomimo przyjaciółek — w przyjaźni tych przyjaciółek nie ufają. Nie śmieję się pan — lecz o ile wierzę (miłość tu zupełnie pomijam) w przyjaźń między mężczyzną a kobietą, o tyle daleka jestem od wiary, by ona płeć naszą łączyła trwale. Są rozmaite podania i pieśni ludów różnych i wieków różnych mówiące o waszej przyjaźni — my tam żadnej roli nie gramy. Jeżeli powieści osnute na potężnej, kobiecej przyjaźni — to mało w nich jest prawdy życiowej. Mówi to kobieta, która dziś właśnie zwróciła się do pana smutna i podrażniona, a zwróciła się z całym zaufaniem.

— Mamy więc mówić otwarcie —

— Niczego innego nie pragnę.

— Panią owładnął niepokój, że ten, dla którego serce zabiło, który rozkochanemi oczyma patrzył na ciebie i widział w tobie jedyny skarb swojego życia — dzisiaj jest więcej milezący, niż był dawniej, dostrzegłaś nawet chłód pewien, jaki powiał od niego.

— Tak — tak — tak... Czy on co mówił, panie?

— Nie — pani!

— Ach! więc pan to sam rozważyłeś? więc już obojętność jego jest tak widoczną, że nawet ludzie stojący na uboczu nie widzieć jej nie mogą? A zdawało się, że ten mnie kochał!

— O! o to spokojną być możesz pani!...

— Pan to mówi? spytała.

— Ja, który od dni kilku poważniej patrzę na was.

— I co pan zauważyłeś?

— Jedno przewinienie...

— Po stronie czyjej?

— Pani!

Młoda kobieta wpatrzyła się we mnie.

— Al! zdaje mi się, że wiem o czem pan myślisz i co chcesz powiedzieć. Nie podobają się panu obejście się moje z panem Henrykiem, do którego, zwracając się trochę zalotnie może (co tylko czyniłam w obecności zawsze pana Zygmunta) drażniłam niem mojego ukochanego. To prawda, przyznaję się do tej niewinnej winy; lecz sądzę, że postępowanie moje na naganę ze strony pana nie zasługuje, a pana Zygmunta więcej przybliżył do mnie, tak! — więcej dbającym o ten swój skarb, jak przed chwilą pan się wyraziłeś — uczynić powinno. — Tym czasem pan robisz mi zarzut — a — tamten chłodnieje — oddala się...

W oczach zamigotały łzy.

— Zygmunt nie kochał mnie nigdy, a jeżeli kochał, to kochał za mało!...

— Czy dla tego, że nie zrozumiał polityki drażnienia?...

— Al! więc pan wiesz, co to było! zawołała pospiesznie.

— Wiem, pani — i właśnie ten sposobik używany od dawna przez was dla wzniecenia większego ognia w kochającym was i tak sercu — nie zawsze może być skuteczny i do pożądanego doprowadza celu. Zygmunt, kochając, nie tylko patrzy na ciebie, jako na kochankę, którą jesteś dzisiaj, lecz także, jako na żonę, którą jutro zostaniesz. Polityka drażnienia używana często dotąd przez was, zle oddziaływała na ludzi dzisiejszych, wychowanych w ciężkiej szkole życia, poważną myślą patrzących w przyszłość. Jeżeli wierzyć i kochacie się — po co te haczyki? One już nie drażnią, lecz zrażają — nie rozpalają, lecz smutne myśli napędzają do głowy. Miłość prawdziwa, poważna, być musi. Wierz mi pani, że ten niewinny żart, ta chęć wzbudzenia zazdrości — w człowieku, który się kocha prawdziwie, nie wzmóże już serdecznego uczucia, bo ono jest całe, skończone. Zadaniem waszem teraz nie powinno być nic innego, jak tylko lepsze

poznanie się wzajemne, dostosowanie się do siebie: że tak powiem, rzucenie myślą w przyszłość, która już od was zależeć będzie. Jej twórcami wy zostajecie. Strzeżcie się, jak ognia nieporozumień i niesnasek; gdy są, niech nie trwają długo. Niech pośród was wtedy nie zasiada uporne milczenie, ale otwarcie, spokojnie wypowiedźcie żal, jaki macie. Porozumieć się musicie—bo niedopowiedziane jedno słowo nie uwolni serca z ciężaru. Do spowiedzi takiej przyzwyczajajcie się zawczasu—gdyż przyszłe życie wasze powinno być nieustanną a szczerą spowiedzią. Czy pani kocha Zygmunta? spytałem nagle.

Młoda kobieta podniosła oczy i wpatrzyła się we mnie.

— Pan, zdaje się, o to nie powinienem mnie pytać.

— Wiele kocha pani?

— Tak!...

— A on?...

— I on mnie kocha.

Słumiła westchnienie.

— Miłość wzajemna, gorąca, szczerą! mówiłem dalej. A jednak on chodzi posępny, a pani skarzy się przede mną.

— Pytałem go o przyczynę smutku.

— I on nie pani nie odpowiedział.

— Tak — nie!...

— A pani nie domyśliła się? —

Lekki rumieniec okrył twarz zapytanej.

— Podrażniło go, niby zajęcie się moje panem Henrykiem, ale on przecie na serio brać tego nie mógł?

— I nie brał — rzucił tylko swej myśli pytanie: po co to wszystko?

— Mówiłam już panu!

— Ja nie jestem kochankiem pani.

— Więc pan żadasz...

— Ażebyś pani nie używała broni stępionej już od dawna. Najpiękniejszym uczuciem jest miłość, koroną jej — to życie we dwoje i wiara niczem nie zachwiana. Maż taki, jak narzeczony pani, chce mieć żonę — kochankę, nie kochankę — trzpiotą. Przelotną posępność jego źle pani rozumiałaś. To nie chłód, nie obojętność — tylko o pani zadawane własnym myślom pytania. Tym czasem pani się dąsas, może niezadowolona nawet jesteś, że on ci żadnych wymówek nie czyni, nie odegrywa komedii zazdrości. — Chcesz zmusić go do tej niemiężej słabości i dłoń własną zle ziarno siejesz.

— Mój Boże! szepnęła.

Z przestrachem wpatrzyła się przed siebie.

Przechadzaliśmy się lipową aleją, na jednej z jej zakrętów spotkaliśmy Zygmunta. Spojrzał na nas i po chwili odezwał się:

— Jesteś poważny, a pani rozrzucona — co to się stało?

— Właśnie o tem chcę pani z tobą pomówić — odpowiedziałem. I ukłoniwszy się, boczna poszedłem ścieżyną.

Wieczorem spotkaliśmy się w salonie. Zygmunt był uszczęśliwiony, szczęśliwszą jeszcze wybrana jego serca. Pan Henryk teraz nieco rozdąsaną miał minę, ale widząc, że na flirt nie odpowiadam mu flirtem, powrócił do roli zwykłego salonowca.

Na dobranoc, milutki, śmiejący się głos niewieści szepnął mi:

— Dziękuję!

— Dziękuję! i Zygmunt się odezwał, serdecznie dłoń moją ściskając.

Musiałem wam przytoczyć ten mały epizodzik z życia dwojga młodych ludzi, który się odegrał przedemną przed chwilą prawie, zakończył się dobrze, lecz mógł całkiem inny wziąć obrót. Pomimo hasel wypowiadanych przez kobiety, hasel, mających ród niewieści z rodem męzkim zrównać: są pewne właściwości charakteru kobiecego, które nie i nigdy nie zmienią, które są ich naturalnym prawem, niezaprzeczoną i niewydartą własnością. Do takich należy chęć podobania się i umiejętność tej sztuki, lekka zalotność, która podbija i zniewala do pożądania, ten wdzięk niewysłowiony, jaki kobieta wkoło siebie rozciąga bez wiedzy czy z świadomością zupełną. Kobiety, które i w tem nawet pozują na męskość i ową niewieściowość uważają za zbytek z czasów minionej tyranii męskiej — są wynaturzonymi twórcami, strojącymi się w cudze pióra, niezrozumiałymi dla mnie okazami, pozbywającymi się własnych szat a sięgającymi po cudze. Ten natu-

ralny wdzięk kobiecy o jakim wspominałem powinien pozostać, choćby główka doktorskim biretem okryta była.

Nie jestem więc przeciwnikiem zalotności, która, bądź co bądź, jest ozdobą kobiety. Przeciwny tylko jestem, owej do dziś dnia używanej przez was, piękne panie, *polityce drażnienia*. Nie przeczę, że w wielu wypadkach i ona może być dobrą, lecz w znacznej mierze już chybia celu. Może zmusić do kochania, lecz kochających poważnie i szczerze zrazić potrafi. Mówią, że dawniej uważano kobietę za zabawkę, za cacko jakieś — jeżeli tak było, to dzisiaj jest inaczej. Pan Zygmunt kochał i był kochanym, i o mało malutki nieodegrał się dramacik z powodu wyz w życiu kochanków, znam jednak parę wypadków, w których rozłączyły się dla siebie stworzone serca i już takiego, jakie mogły mieć, szczęścia — nie znalazły...

Bawię na wsi, przypatruję się tu stosunkom towarzyskim i powiem szczerze, że ta osławiona prowincja, nie jest taką, jaką ja sobie mieszkańcy wielkich miast przedstawiają. Czyta się tu dużo i umie się dużo, a co najważniejsza, że stanowiący rozdział panuje między tą właśnie czytającą publicznością, a naszymi panami krytykami, którzy chcą jej opinią kierować. Jak się to stało, lecz zdania recenzentów o tej lub o tej powieści naprzykład, są najzupełniej lekceważone. Prawda, że ktoś niedawno powiedział w jednym z pism codziennych i miał od wagę słowa swoje podkreślić, że — *oni jednego nie mamy krytyka*.

Lecz dla czego nie mamy?

Ba — to pytanie!

Wien tylko, że, pomimo pretensyi niektórych z tych panów do znajomości człowieka, nie znają go zupełnie. Wytworzyli sobie pewien szablon — wszelki odznak od niego graniczy już z nieprawdopodobieństwem. Lękający się krytyki autor, boi się takiej, a takiej przedstawić postaci, by nie być posądzonym o przesadę lub niezajomość dróg jakimi chodzi Psyche. Takich objawów nie widział krytyk — zatem zrodziły się tylko w umyśle piszącego. Ale szanowny krytyk mieszkający, naprzykład w stolicy, według jej wzorów o całym sądzi świecie.

Tymczasem właśnie owe wielkie miasta, pomimo tłumów zalegających ich ulice, wytwarzają pewien szablon; pomimo pewnych różnic wszystko się upodabia do siebie. Nie dostrzedz tam tej różnorodności charakterów, tych typów nieprawdopodobnych prawie, tych tysięcy sprzeczności znajdujących się w jednych osobnikach z jakimi, co chwila spotykamy się tu, na wsi. Powiem śmiało, że ta wieś i to wszystko, co jest w niej, są nieznanym naszym recenzentom. Czy można, naprzykład, przedstawić sobie młodzieńca, z dobrego domu, moralnie, umysłowo, ani fizycznie nie upośledzonego, przeciwnie, mającego dobrze umebłowaną głowę, który zakochawszy się w osobie pewnej, (a mówiąc w nawiasie) znacznie starszej od siebie — poszedł w taką niewolę jej wdzięków, że — stał się jej panną służącą. Funkcje, jakie spełnia, ośmieszają wprost mężczyznę, bo oto: codziennie wieczorem, o naznaczonej godzinie, opuszcza towarzysztwo ze słowami: „Idę porządku robić w pani pokoju.“ Wypęda więc muchy z jej sypialni, proszkiem perskim ośpuje cały pokój, i — przepasany fartuchem, który od bogdanki swojej w upominku otrzymał — sprząta, zamiata z całą powagą włożonego na siebie obowiązka. Otrzymuje wprawdzie za to wszystko podziękowanie, lecz nie omija go i uśmiech drwiący i ostre szyderskie słowo. Rozumie to wszystko, a jednak — w przekonaniu swoim nie widzi innego sposobu, by podbić serce nie czułe...

Zestawcie teraz mężczyznę w całym znaczeniu tego wyrazu, dorodnego, o muskułach żelaznych, doskonałego fechtmistrza z fartuchem, miotką od kurzu i dmuchawką wypełnioną proszkiem perskim, — rozumiejącego zresztą, że jest przedmiotem żartów, ubliżających nieraz tej — której ma serce zniewolić. Coby powiedział nasz krytyk warszawski, gdyby postać podobną w przesłanej sobie powieści ujrzał? — Autor nie wiedział gdzieby się obrócić, przeczytawszy recenzję swej pracy. A jednak od miesiąca studuję ową postać, przedstawiam śmieszność postępowania, i źle obraną drogą, jaką ma dojść do celu. Nieraz wybrana jego serca mówi mu wprost w oczy, że wszystko przebaczy męż-

czyźnie, prócz śmieszności — na to otrzymuje odpowiedź...

— Dla pani i śmieszność zniosę...

I o naznaczonej godzinie znowu fartuch, miotka i proszek w robocie...

Nie jeden to typ ciekawy poznany przeze mnie — lecz o innych wspominać nie myślę, bo i tak o przesadę mnie posadzą...

Pomijam więc tym podobne okazy, które nie przeczę, że nie pojawiają się codziennie, ale niezajomość stosunków wiejskich, doprawdy, że u niektórych naszych recenzentów jest karygodną...

Oto malutki przykład...

Pewien autor wprowadza bohatera swojego do miasteczka na prowincyi. Zapoznajemy się z nim podczas zimy. Zwróćcie uwagę: *prowincjonalne miasteczko i zima*.

— No i co?

— Posłuchajcie!

Wymieniony bohater codziennie kochance swojej przysyła bukiet róż świeżych.

To, zdaje się bardzo naturalne — tembardziej, że ów bohater i na stokroć większy zbytek pozwolić sobie może.

Bał naturalnem było dla piszącego powieści, ale nie dla recenzenta (tym razem recenzentki)...

— Gdzie autor widział — woła zgorszony czy zgorszona — ażeby w *prowincjonalnym miasteczku*, podczas *zimy* róż być mogły?...

Być może, że okrzykowi temu zawtórzeli ci, co jak ślimak ze swojej skorupy, z murów miasta nie wychylali się nigdy. Lecz krytykowi tak odezwać się niewolno, a jednak tak pewnym był siebie, że dodał nadto, iż — mieszkańcy na wsi zostaną temi różami zdziwieni.

Tym czasem przeciwnie się stało: — mieszkańcy wsi roześmieli się z okrzyku pana recenzenta...

I słusznie...

W każdym niemal miasteczku znajduję się jakiś ogrodnik który uprawia kwiaty i ma cieplarnię, a gdyby jej nie było w mieście, to w promieniu mil dwóch, spotkasz niejednego dom obywatelski, przy którym trephauz się znajduje. Zaisze że autor powieści mógł rozmaitych zarzutów się spodziewać, ale napadu na niewinne niespodziewał się różę. — Cóż dopiero mówić o fartuchu, miotce dmuchawce?...

— Krytyka mówi to i to — ktoś rzuca.

— Eh! odpowiada się z lekceważącym ruchem ręki...

Doprawdy, że to smutno...

— A co nas zdanie prowincyi obchodzi? wołają sędziowie prac autorskich.

— Ej, panowie! prowincja to zrobiła, że dzisiaj zbyteczną nie cieszyć się powagą, że otwarcie już pisze się i podkreśla: *nie mamy ani jednego krytyka*. — A ta prowincja, panowie, nie jest tak bardzo zafanana, jak wam się wydaje. Siedzą sobie na niej i z doktorskimi patentami gospodarze wiejscy, krytyk nie piszą to prawda! ale odróżniają doskonale ziarno od plewy i — jej zawdzięczając tylko — na śmierć skazane przez was talenta, poczesne znajdują miejsca na kartach literatury. Nieraz, odrzucona przez was książka, znajduje na wsi pokup; gorącą wodą obłany autor już zwątpił o sobie, aż oto, najniespodziewaniej wydawca uśmiecha się do niego i prosi o nową pracę...

— Ależ, panie — tak mnie zrabano! szepce ofiara.

— To nie — czytają pana...

Może i sam pan wydawca w talent nie wierzy, — ale — książka się rozchodzi...

Dla czego?

Zdrowy umysł czytającej publiczności dostrzegł to właśnie w nowozjawionej sile, czego panowie recenzenci nie mogli dopatrzeć...

Ten odźwięk, jaki panuje między czytelnikiem, a krytykiem ma dodatnie ale też i ujemne strony. Dodatnie — ponieważ jest dowodem, że czytająca publiczność nie powtarza za panią matką pacierza, wyrobiła sobie sąd własny i na nim przekonania swoje opiera, ujemne — ponieważ młodzi pisarze w nowe wstępujący szranki, powinni w krytykach widzieć, dobrych swoich mentorów i nie małą wagę do słów ich przywiązywać. Zanim wypowie się publiczność — mówi krytyka; tym czasem piastujący jej berło stracisz na zaufaniu i powadze. — Talent rzucony zostając samopas, nie wierząc przewodnikom słucha

złych podszeptów miłości własnej i—bardzo często bywa—koszlawieje i przepada. Ze nie ma przesady w słowach naszych, mówiących o znaczeniu dziś krytyki u nas—przekona się każdy, kto bliżej zetknął się z czytającym, a inteligentnym ogółem...

??

Na skrzydłach pary.

Na skrzydłach pary, siłą uczuć gnany,
Jak ptak, co wiosnę przeczuwa zdaleka,
Znów do dziewczyny powracam kochanej...

Dusza spotkania z nią pragnie i czeka
I w dal się z pieśnią rozkoszną wyrывa,
I hen przed siebie leci niecierpliwa.

O mój aniele! długo, rozłączeni.

Napróżno myśmy tęsknili do siebie...

Słońce nam szczęścia skąpiło promieni

I ach! nie dla nas wschodziło na niebie,—

O mój aniele! kto kocha i wierzy,

Temu się szczęścia parę chwil należy...

O mój aniele, jam wierzył do końca

W uczucia twoje i w szczęścia możliwość,
A miłość moja tak była gorąca,

A imię moje: wierność i cierpliwość.

Dziś, gdy zaledwie zostało chwil parę,

Przebraną czuję cierpliwości miarę.

Tam, gdzie się niebo, jak dziewczica płoni,

Gdzie barwne kwiecie polną wieńczy drogę,

Kędyśmy razeni chodzili dłoń w dłoń,—

Lecę do ciebie, dolecieć nie mogę...

I serce moje, jak więzień się miota,

Któremu wolność ma dać jutrznia złota,

Wschód już rumieńcem zapłonit się cały,

Skowronek piosnkę na dzieńdobry dzwoni,

Z piosenką jego szmery drzew się zlały

I plusk strumienia, co płynie w ustroni,—

Z piosnką jego ku drogiej dziewczynie

W cudnej harmonii pieśń mej duszy płynie.

O lećcie szmery i drzew i strumieni,

Nućcie jej o mnie czarowną piosnkę,

Nim dźwiękom waszym, szczęśliwi, złączeni,

Zaniesiem wspólną, radosną podziękę.

O leć skowronku, cudny gończe wiosny,

Bądź i nam posłem nowiny radosnej!...

Selim.

W CODZIENNEJ WALCE

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

St. Ariel.

(Dalszy ciąg).

VIII.

— Wiesz, że dziś przychodzę umyślnie w sprawie Władka,—mówiła Anielka w parę dni wpadłszy znów szarą godziną.—Tak rozpaczal biedak, gdy powróciliśmy od was, tak obżałowywał, że nie

oświadczył się zanim przyjął Kubika, że w końcu zaklął mnie, abym jeszcze ci powtórzyła jak cię kocha, jak pragnąłby całe życie o szczęście twoje się starać.

— I na co mi to opowiadasz?—spokojnie przerwała Joasia.

— E, bo i ja myślę, że z małżeństwa z profesorem nie będzie, a przynajmniej mogłoby nie być.

— Dla czego?

— Bo tak jakoś wcale na narzeczonych nie wyglądasz! On taki rurowaty... Powiedz, nie lepiej byłoby ci z Władkiem? Łagodny, delikatny, a przysięgam młody, przystojny... prawda, jak mu teraz ładnie z brodą?

Joasia uśmiechnęła się.

— Pleciesz jak dzieciak! Byłaś doprawdy przed Warszawą rozsądniejsza. Jak możesz namawiać mnie do zrywania z człowiekiem tak poważnym dla tego, że nie piękny i nie młody?

Anielka zacerwieniła się, zawstydzona.

— Ale bo widzisz... pragnęłabym, aby tobie było dobrze i szczęścia Władka chcę z całego serca; a czuję się po części winną w tem, że go od oświadczenia powstrzymywałam... To znów posłyszałam, że Klotylda z mężem się rozchodzi, i bałam się abyś i ty po czasie nie żałowała...

— Ależ z Klotyldą sprawa całkiem inna! Wychodziła bez przekonania, wprost dla świetnego bytu; nie ją z mężem nie łączyło. A ja...

— A ty pana Tomasza także nie kochasz, możesz zatem równie dobrze wybrać innego.

Joasia splonęła.

— Ale ja... ale—ciągnęła po chwili zmienionym głosem—już wypowiedziałam ci poprzednio swoje zapatrywania w tym względzie,—dokończyła.

Jednak śmiało rzucone słowa przyjaciółki zmieszły ją nieprzyjemnie. Rada była też ze zmiany tematu rozmowy.

— A powiedz, powiedz, moja droga — podjęła Anielka, od powrotu z Warszawy często z gorączkowana — czy na prawdę przypuszczasz, że to znak dobry, iż Rojek wyjeżdża na prowincję?

— Naprawdę, bo łatwiej sobie zdobędzie praktykę i stanie o własnych siłach. Nie słyszałaś to, ilu początkujących doktorów głodu przymiera w Warszawie, lub prowadzi sztuczną egzystencję kosztem rodziny i w końcu musi się żenić dla posagu?

Anielka patrzyła rozmarzona.

— Ach, jak ja bym chciała, żebyś była dobrym prorokiem! Żeby... żeby... żeby go choć zobaczyła niezadługo! Wiesz, niezmierzając się nie mogę! Tak mi wszystko niesporo idzie—ciągle myślę, myślę...

— I nie mądrego ani nowego nie wymyślasz. A cóż będzie z tą twoją niby wielką szkołą koronkarstwa?—z uśmiechem pytała. — Bo jakoś widzę wróble jeszcze nie śpiewają na to.

— Ech, i ty mi dogadujesz? Niedobraś! niepoczuwa! Mama kiedyś na seryo wymawiała mi, że próżno się szarpnęła na to moje siedzenie w Warszawie, że lepiej było pieniądze na wyprawę schować... A ja wyznam ci w sekrecie, że przypuszczałam... iż nawet rozpoczynać nie warto.

— Bo Rojek cię zaraz porwie? Tak?

— No, nie mów, bo się wstydzę! Ale... przecież teraz były wakacje; czy mnie trochę pobolewały... Zresztą nie wiem, czy się to uda, czy mi dzieci przysyłać zechcą?

— Gdy się o to nie postarasz i raz nie spróbujesz, to się nigdy nie przekonasz. Ja wiem, że mieszczaństwo tutejsze jest ubogie, i dużo dziewcząt powinno by z wdzięcznością przyjąć możliwość zyskania kawałka chleba.

— A ja straciłam jakoś do tego ochotę i myślałam o czemś innym...

Joasia potrząsnęła głową. Ale wnet jakaś myśl zadowoleniem jej twarz rozjaśniła.

— To może kupisz posiadłość Krebsa?—spytała uśmiechnięta.

— Co? On sprzedaje?

— Przedwczoraj tu był i koniecznie proponował, żebym mu ustąpiła choć tyle, by przystęp miał do rzeczki, bo syn gwałtem farbiarni się domaga i piekło sprawia o to, że nam się dał tak „oszukać.“ Żaden zaś z sąsiadów ani pędzi ziemi nie chce oddać ze swego, w czem też „moja robota“ i „moja

ręka“ według niego. Bardzo dobrze. Dziwię się tylko, że tu jeszcze przychodził, ale myślał widać, że mnie na pieniądze złowi, tyle obiecywał. Odmówiłam rzecz prosta. A dzisiaj zjawił się Sobuń, najstarszy z naszych kolonistów, z tem, że „wygryzł swa szwaba.“ Krebs grunt sprzedaje, i wynosi się niewiadomo dokąd. Oni tych kilka morgów chcą rozdzielić między siebie—no, ale może ty je nabędziesz? Byłybyśmy sąsiadkami.

— Chyba żartujesz? po co? Ja tak się przykuwać do miejsca nie chcę...

— A, bo znów rojenie, a właściwie „Rojkowa-nie“?

— Nie prześladowaj! bo ani słowa nie powiem nigdy!—odgrażała się Anielka. I może też chcąc rozmowie inny bieg nadać, rzuciła żywo:

— Słyszałaś, że Starcey się nie rozchodzi? On majątku i młyna nie sprzedaje; pozrywał układy, które miały dojść na Święty Michał; nie wyjeżdża za granicę, pogodził się z żoną. Jeszcze Władek mi to opowiadał.

Joasia zbłądła, lecz wysłuchiwała wszystkiego.

— Tak?... To dobrze, — wyrzekła w końcu powoli, machinalnie.

Oczekiwała przecież codziennie tej wiadomości; nawet dziwiła się, że nikt jej nie przyniósł. Mimo to nie mogła zapanować nad wzruszeniem.

W dwie zaś godziny potem znalazła się w salonie z panem Tomaszem.

Ustawiała doniczki z delikatnymi roślinami, które w braku oranżeryi niewykonywanej, należało w pokojach porozmieszczać, zabezpieczając od pierwszych przymrozków, jakie już groziły.

Roboty było sporo, jeszcze więc po herbach do niej powróciła; profesor dopomagać usiłował, jakkolwiek do ruchu pośpiesznego ciężki był i niezgrabny.

Gdy więc Ludka uwijająca się obok, czmychnęła—narzeczeni pozostali sami, co się rzadko zdarzało przy zwykłym trybie życia i zajęć.

Zaległa cisza.

Po chwili zaś pan Tomasz tak ciężko westchnął, że Joasia, choć zesuwaniam doniczek zaprzętnięta, nie puściła tego mimo uszu.

Od kilku dni, to jest od chwili przeczytania listu Adama i zeznania przed sobą jasno prawdy, na dnie serca zatajonej—czuła się poniekąd winną względem narzeczonego; i raz poraz toczyła ze sobą rozprawy nad tem, czy nie postępuje źle i nieuczciwie, mimo wszystkiego decydując się na małżeństwo z nim i zamierzając przywiązaniem przyjacielskiem i szacunkiem zapłacić głęboką, wierną miłość.

Skrupuły tem bardziej wzrastały w niej, że chwilami przebłyśkiwało przez głowę, iż pan Tomasz o wyznaczenie ślubu dopomnieć się może; a chwilami znów wydawało jej się, że i w nim powstają jakieś wahania, obawy, a przynajmniej niepokojące przeczucia.

Nazajutrz po spotkaniu z Rożnieckimi nie zajął wcale. Drugiego dnia przyszedł, lecz na trzeci znów się nie pokazał; czyli odwiedziły przez pół ograniczył,—i bardzo był smutny i milejący.

A ona co prawda o przyczynę zmiany w wizytach i usposobieniu zapytywać go nie śpieszyła, instynktem czując, że przy sposobności tej, potracą się i jej serca struny, które byłaby chciała zostawić w spokoju—dla uciśnienia.

Teraz wszakże zadzwoniły jej w uszach słowa rzucone przez przyjaciółkę: „nie kochasz go!“

— Tak—nie kocham!—pomyślała — a on może się ludzi?

I ogarnął ją żal, smutek—jakby wstyd za winę, choć czuła, że ta wina mimowolna, nierozmyslna.

Nie odwracała przez chwilę głowy.

Pan Tomasz zaś po westchnięciu mileżał.

Więc instynkt powiedział jej, że sam przygotowywa się do wyjaśnień i rozmowy, na którą i jemu nie łatwo snadź było się zdobyć.

— Jednak skończmy raz—nie może tak trwać—powiedziała sobie w duchu.

Niepokój zaszemrał jej koło serca.

Ale po minutach paru obróciła się ku narzeczonemu—spojrzała.

Głodził brzdę i wąs przyszyty podgarniał palcami, a patrzył w nią z wielkim żalem—jak w przedmiot niezmiernie drogi, którego się

człowiek z dobrej woli i szlachetności wyrzeka, ale z bólem, z rozdarcie serca—i co począć?

Ja, wejrzenie to—wyrzutem w sumieniu ścisnęło. Chciała rzec: „nie otwieraj pan ust—zaczekaj!” Lecz zanim głos dobiegł, który jej w gardle zasęchł, profesor już był blisko—i rękę jej odcinając od kwiatów, w obie dłonie ujmował.

— Pani droga, — zaczął powoli, tuląc jej palec jakby z prośbą o przebaczenie. — Mnie się wydaje, że... że pani może żałujesz słowa, jakie mi dałaś?... że z innym byłabyś może szczęśliwszą?... Ja nie droższego nad ciebie nie mam na świecie. Ale chciałbym, abyś przedewszystkiem pani była szczęśliwą, nie ja przez posiadanie ciebie. Ja jestem naprawdę stary w porównaniu z panią. Przed kilku laty inaczej się czułem, ale — coś mnie strawiło! Pani możesz znaleźć człowieka młodszego; nie mówię, że ktokolwiek więcej odemnie byłby zdolny cię kochać, bo przypuszczenie takie byłoby jedynym kłamstwem mego życia. Ale możesz pani połączyć się z człowiekiem odpowiedniejszego wieku i usposobienia... Mnie — mnie się zdaje, że szukać i czekać nie potrzebujesz pani. Więc zwracam ci wolność i słowo — ja nie potrafiłbym żyć z tem przekonaniem, że z innym mogłabyś być szczęśliwszą.

Głos jego, zrazu cichy, potem pewien siebie, wkońcu stał się drżący i zdławiony; a ręki jej, z zamkniętych dłoni wciąż nie wypuszczał.

Joasia stała niema na miejscu.

Twarz jej zabarwiła się całą jednostajnie łuną głębokiego wzruszenia — i z oczu spadać poczęły prędko jedna za drugimi łzy rozrzewnienia, bez drgań w muskułach, bez łkania w piersi.

O, jak byłaby chciała móżdż nie kochać tamtego, nie pamiętać! I całe serce — i duszę całą oddać temu za wspaniałomyślność i poświęcenie, do jakiego był dla niej zdolnym.

Niemal upokorzona się uczuwała.

— Panie, — zaczęła w końcu, z ostatnimi kroplami rosy na rzesach. — Ja zapewniam z głębokiego przekonania, iż nikogo za lepszego i godniejszego od pana nie uznaję. Dla mnie wiek pana nie nie znaczy, cenię charakter i serce. Pan zna moje zapatrywania, wierzyć powinien. Pan zna i moje życie — nie czyniłam tajemnic. Wie pan, że kochałam, jak się kocha raz tylko. Dziś — jak najzwyklejszemu przyjacielowi wyznam, że... nie jestem jeszcze wyleczona, — mówiła z trudnością, głucho, jakkolwiek zaczynała głosem pewnym. — Ale czas musi dopomóc!... Jeśli więc pan poprzestaje na przychylności, jaką jedynie dać mogę, jeśli pan sam nie cofa się, to proszę, niechaj pan tylko nie nalega o ślub — jeszcze przez rok. Nam obojgu zarówno ten rok życia przybędzie, więc zwłoka niewiele zaznaczy, a dla przyszłości nas obojga sędzę, że dobrze wypadnie.

Kubik słuchał jej, z głową przychylną, oczyma z natężeniem wpatrzony w nią, jak w wyrocznie życia i śmierci, słuchał — i ręki jej z uwięzi nie puszczał.

Gdy skończyła, drogą tę rękę w odpowiedzi całej podniósł do ust w mileczeniu — i kilka razy pocałował, cicho.

— Dobrze, wszystko dobrze! — wkońcu tklwym szeptem przyrzekł, pełen bezmiernej wdzięczności.

A czy w drugim sercu również jej nie było?

IX.

Pogoda trwała tak piękna i słoneczna niemal do końca Października, po kilku nocach, w których przymrozki postraszyły, że jeno mgły białą chmurą osiadające nad łąkami, jak zaduma, zmierzchy wczesne, a ranki leniwe i szmat siny w czystość nieba czasem zabłąkany — przypominały zbliżanie się ospałych por, i groźną zimę.

Joasia też wszelkie roboty nagliła, po całych dniach pilnując w ogrodzie obeinania, sadzenia, zaopatrywania.

Ludka znów zajmowała się oczyszczaniem ziół aptekarskich, które na miejscu zbyt niezły znajdowały, a jako drobne rośliny, zapędziły w ogrodzie różne skrawki ziemi i brzozi rabat. Ona również doglądała układania suszu i owocu, który miał doczekać wiosny, dla korzystniejszej sprzedaży.

Jednem słowem ruch w gospodarstwie panował jeszcze bardziej ożywiony niż w Maju, — gdy w samej rzeczy lato czarodziejskie pierzchnęło, słońce zagasło; mróz liś powarzył, wichur go strącił — i rozmiótł.

Szarosć posępna oblokła niebo, świat cały. Deszcz padać zaczął bezszklisty, drobny a gęsty. Brunatna warstwa zeschłych liści i traw zwiedniętych okryła ziemię — i wysterczały nad nią jeno ciemne pnie drzew, ośliżłe, nagie gałęzie i połamane suche badyle...

Jednego z tych ponurych listopadowych ranków, niespokojny ruch zapanował u państwa Leskich.

Pani Tekla dostała ponownego ataku paralizu.

Już powstając z łóżka po nocy, zachwiała się, napowrót na nie padła, drgawkami wstrząśnięta, z osłupiałym wzrokiem, z niemocą słowa — bezprzytomna.

Szczęściem, że dziewczyny, raz przeszedłszy podobną próbę, umiały cokolwiek sobie radzić. Pomoc lekarska bezwzględna ratunek przyniosła skuteczną; — w godzin kilka pierwsze objawy ku lepszemu, nadzieję ocalenia życia obudziły.

Pan Wiktor wszakże, wstrzymany w wyjściu do biura, całkiem już dnia tego z domu się nie ruszył. Osepiął, zmartwiony, z rękoma jak do pacierza przed sobą złożonemi, co kwadrans, na palcach mimo nóg starych, wkradał się do pokoju żony, by spojrzeć na jej zmienione rysy — a w przerwach oczywiście szeptał modlitwy.

Niebezpieczeństwo jeszcze groziło, w razie powtórzenia się ataku w przeciągu doby i dni paru.

Córki nie odstępowały też matki na chwilę, po dwie z kolei zmieniając się i w nocy razem z Anielką.

Profesor Kubik dowiedziawszy się o wypadku na miejsce, zaraz po godzinach klasowych przybiegł, jak zawsze serce i usługi mając na dłoni — i do drugiej po północy siedział, nakłoniwszy pana Wiktora na spoczynek, przez wzgląd na wiek jego późny. Sam chciał przynajmniej obecnością, jeśli nie czynem nieść pomoc narzeczonej.

— A czy pani do panny Heleny, raczej do pani Walter nie napisze? — zapytał ją w chwili spokojniejsze rozmowy.

— Gdyby było bardzo źle, napiszę. Ale teraz po co? Ona nie przyjedzie!

— A pan Wacław wiedział o pierwszym ataku?

— Wiedział; ojciec mu donosił. Lecz on zdaje się, wszystkie wiadomości przyjmuje obojętnie i dopiero za lat kilka zamierza do kraju zajrzeć.

— A chyba to nad innych ukochany jednak, — rzekł filolog z refleksją.

— A tak, — krótko przyświadczyła Joasia. Wszystkie niemal od czasów dziecięcych dowody tego „ukochania“ stały jej przed oczyma. Przypominała sobie też słabość matki, tak wyzyskiwaną przez Helkę. Lecz głośno żadnej nie uczyniła uwagi.

W dni kilka spokój w domu powracał. Chora wyraźnie odzyskała przytomność i władzę, z wyjątkiem nóg, jak poprzednio głównie porażonych.

Doktor obiecywał na pewno wyzdrowienie. Pan Leski rozruszany, z twarzą rozjaśnioną, wyściskował serdecznie ręce wybawcy.

— Ale kochany pan do nas wieczorem zajrzy, jak tamtych dni, — zapraszał; — bo to człowiekowi raźniej na sercu już na sam widok oblicza doktorskiego; jakaś otucha z wami w progi wstępuje, i kto wie czy to nie najlepsze nawet wasze lekarstwo, — mówił, ręce zacierając.

Lekarz uśmiechał się uprzejmie. Człowiek to był lat średnich, powierzchowności miłej, wejrzenia przenikliwego, oczu w okulary uzbrojonych; a lubo cieszył się praktyką znaczną, w obejściu wszelako zachował dla wszystkich bez różnicy dobrotliwość ujmującą, której średni majątek jeszcze nie wystudił i w lekceważenie względem mniej zaможnych nie zamienił.

— Przyszedłbym z całą chęcią — odpowiedział tedy, — ale we dwóch jedziemy zaraz do Dobronowa; trudno będzie przed nocą wrócić.

— Dobronowo? A — to do Starskich, — wyrzekł pan Wiktor jakby niewyraźnie sobie przypominając.

— Tak państwa Starskich.

— A któż chory? On?

— Nie, ona. Kobieta młoda, silna, zdawałaby się zdrowa, a niedobrze. Zapalenie płuc najężej takie bierze.

Joasia bokiem odwrócona do rozmawiających, studiowała dla matki rosół w filiżance:

Na dźwięk „Dobronowa“ łyżeczka w palcach jej drgnęła, po drugiej ręce rozlewając płyn weale już nie gorący. Mimo to stała — stała, unieruchomiona tem, co do uszu wpadło; słuchała — jeszcze oczekiwała słowa, jeszcze spodziewała się czegoś więcej.

Lecz doktor palto naciągnął i pożegnawszy się wyszedł.

Ona też zwolna za drzwiami sypialni zniknęła.

Po chwili kłęzała przy łóżku matki, poila ją uważnie jak dziecko, poprawiała starannie kołdrę na nogach; potem kurz ścierała na stoliku zastawionym mnóstwem flaszeczek, szklanek i drobiazgów innych — niczem nie stuknęła, nie na podłogę nie zrzuciła. Ale mimo trzeźwości uwagi i pełnego władania członkami, w piersi czuła odrętwiałość olbrzymiego niepokoju, który nie chciał jawnie zaznaczyć swego istnienia, więc ukrywał się, czaił, przydławił — a jednak w duszy się rozpierał despotycznie i w umysł jej oprócz trwogi o matkę wstąpił nowe uporne pytanie: „co tam — co tam.“

Przyczyn tego niepokoju zgoda nie była zdolna pojmywać; czy zdradzała je nadzieja, współczucie, czy trwoga przedczemś, czego i wymówić nie chciała, a co duszę jej rzuciło w rozterkę. Nie nie zeznawała tedy przed sobą i nie nie tłumaczyła, bez względnie opanowana, i za siebie nieodpowiedzialna.

Nazajutrz oczekiwała odwiedzin doktora z gorącą tłumioną; lecz tak ogarniającą, że wypiekami na licu jej wystąpiła.

Matce było lepiej; wymówiła nawet pierwszych słów parę wyraźnie i do sensu, więc ustępowały obawy o jej władzę umysłową, i radość wszystkich przejmowała.

— Ale — co tam?... —

— A jeśli nikt lekarza, jedyne go pośrednika, o Starskich nie zapyta, ani ojciec, ani Frania — to co będzie, co będzie? Bo czy ona znajdzie siły by zacząć sama?... —

Doktor zaś właśnie przyszedł pod nieobecność pana Wiktora. Zadowolony stanem pacjentki, ręką jej nawet rychło powstanie z łóżka, zwięzłe podał nowe zlecenia — i po dziesięciu minutach odchodził, widocznie gdzieś spiesząc.

Kasia podążyła za nim do przedpokoju i w drzwiach przystanęła; oczy w twarz jego utkwiała z natężeniem, które wzrastało w miarę jak sekundy uciekały. Ale tak! prawdziwie nie miała siły wydobyć głosu i potwierdzenia domysłów, lub zaprzeczenia szukać. Wprost zawiśła uwagą i duchem na milczących ustach doktora, który najobojętniej przecierał okulary i chustkę zakładał na szyję. Wiedziała, że tych kilku słów odpowiedzi wyrwie ją z niepewności, w jakiej się nurzyła — i pełnie w górę, lub dół. Lecz właśnie sama niezdolna była sobie dopomóc — i wytrącić się z tych wahań. A z drugiej strony, pragnienie dowiedzenia prawdy przejmowało ją tak silnie, że niemal wydawało jej się, iż lekarz powinien je odgadnąć — i prawie dziwiła się, że nie mówi; a jak gniewała się na swoją słabość! Sami byli, nie miała nawet sióstr na świadków; ale głos zasychał — i nie mogła, nie mogła!

— Ja tu już nawet nie jestem co dzień potrzebny, — odezwał się wkońcu sumienny lekarz, za kapelusza biorąc; wiedział, że z wydatkiem trzeba się w tym domu rachować.

Joasia drgnęła.

— Ależ proszę, niech pan jutro przyjdzie zechce — wyrzekła pomieszana, — proszę koniecznie, — dodała z naciskiem, niemal z trwogą.

— Dobrze, jeśli tylko będę mógł...

I już był za progiem.

A ona pozostała z niczem...

Szara godziną odpoczywała na fotelu w jadalni; pan Tomasz siedział o dwa kroki naprzeciwko, ojciec przy stole z boku. Chora spała; Frania drzemała przy niej, a Ludka w swoim pokoju, — jak zwykle, gdy po kilku nocach bezsennych a dniach pełnych trudu i niepokoju, chwytła się każdą chwilę na wytchnienie.

Cisza więc zalegała wkoło. I cisza ta „rozbiierała” kości po zmęczeniu.

Nie mówiła też ani słowa, zadawałając się spokojem. Z początku słyszała rozmowę dwóch obecnych; przytaczali sobie wzajem mnóstwo opowiadań o chorobach, wyzdrowieniach, lub śmierci z najrozmaitszych przyczyn i w różnych okolicznościach. Nie był to wprawdzie temat zajmujący; i pan Tomasz podtrzymywał go jedynie przez uprzejmość dla przyszłego teścia.

Ale zapewne i więcej wstrząsające opowiadania nie byłyby zdolne Joasi od własnych myśli oderwać.

Powoli też przestała odróżniać głosy brzęczące jednostajnie, a przytłumione ze względu na sąsiedztwo chorej—głosy, które w końcu stały się dla niej obojętnymi, jak cykanie zegarowego wahadła.

Cała przeniosła się wyobraźnią tam do tego dworu, którego nie знаła. Widziała jego mury zewnętrzne, pokoje obszerne,—a zwłaszcza ujrzała wyraźnie ludzi tam zamieszkujących, a w rozruchu i zamęcie. Widziała wielki młyn, z rojem wystraszonych robotników... posłyszała szum wody, na olbrzymim kole... szum nurtów wezbranej rzeki... huk i łoskot grzmotów... poczuła ciemność przerażającą, strach, grozę... Zobaczyła wielkiego, kudłatego psa — krwią zbroszone dziecko,—usłyszała krzyk przejmujący wskroś — dojrzała w oddali kobietę wysoką, silną, uciekającą w przerażeniu z dziewczynką na ręku,—a za nią bezmiar wód zpienionych, rozszalałych, zawałających pola i łąki żółtą lawiną fal, i zagarniających coraz, coraz więcej przestrzeni, aż do jej stóp...

Strach ją zdjął. Czowała się skostniałą odrętwioną. Chciała wyrwać się z tego ucisku, z przerażenia:—drgnęła i westchnęła z głośnym jękiem.

Profesor na krześle się poruszył i w jej stronę bardziej zwrócił.

— Pani tak zmęczona! Niech się pani położy,—łagodnie poprosił, nachylając się ku niej...

Otworzyła powieki na chwilę zmrużone — obraz pierzchnął, groza opadła.

Ale j—szcze przez pół trzymało ją obezwładnienie jakieś i omroczenie pół sennie; była w mocy doświadczanego wstrząśnienia i nie mogła oderwać się duchem od tamtych, których widziała.

Napowrót przysłoniła żrenice, i jak w śnie szepnęła narzeczonemu w odpowiedzi:

— Nie, zostanę... dobrze mi tu. — Pan Tomasz spojrział na nią z tkliwą wdzięcznością—i końce palców na kolana spuszczonej ręki, zlekka ucisnął.

Jak dalekiem było jej „dobrze” od tego, co on pod tem rozumiał!

Joasia drgnęła—i zupełnie wytrzeźwiała. Majączenia przysnęły. Sercem jej szarpnęła wyraźna, świadoma trwoga, wzmocniona i rozgrzana obrazem sennym, który w każdej postaci tętnił ruch i życie, niemal rzucając ją między tamtych, chociaż pozostawiając w dręczącej nieznajomości prawdy.

— Ach co tam jest? Co jest?... Życie, czy śmierć?—pytała z gwałtownym niepokojem i poczęła wyrzucami obsypywać samą siebie za to, że nie wypytała doktora, że uległa niewytłomaczonej słabości, zawałowała się i zlekka spotkać z rzeczywistością oko w oko.

— Ale jakaż ona jest? Może tam jak tu jeszcze walka dwu sił sprzecznych: żywotnych i niweczących. Jeszcze niepewność?... A jeśli szala przechyliła się w którą stronę, jeśli jest zwrot na życie,—a jeśli na śmierć?...

I tego nie rozstrząsała jakie rozwiązanie byłoby dla niej upragnionem.

Wszystkie władze nateżały się w oczekiwaniu.

— Śmierć? A jeśli naprawdę będzie śmierć?...

Gdy pytanie to jeszcze raz stało przed nią prosto jako przypuszczenie — myśli jej wzburzone i targające się, łagodnie poczęły i zwolna jakby, zstępować w głąb cicha jak grób, ale głębszą, bez widomego dna — i tam wciągały ją całą za sobą, otulając głuchością niezmierną.

Nietylko nie słyszała zgoła, co rozprawiali obecni, ale nawet przestała pracować mózgiem i piersią; nie czuła nawet że oddycha — zdawało jej się, że całą istotą zapada w bezwzględny spokój, prosto w zastój—i trwała tak z błogiem uczuciem pełnego wytchnienia...

Otworzywszy oczy, poszukała niemi narzeczonego.

Szaro było, niemal ciemno przy wieczornym mroku; lecz jej nie o powierzchowność jego chodziło.

W tej chwili miała w duszy tak żywe poczucie jego dobroci, wyrozumiałości, szlachetnego poświęcenia i zaparcia, do jakiego był zdolnym, że potrzebowała oprzeć na nim wzrok, jak dla poświadczenia, że się nie myli;—a serce jej przeniknęła naraz ogromna rzewność, która powoli wysnuła się z poprzednio obejmującego spokoju.

W mózgu zaś, zamajaczył obraz, w którym zobaczyła jakoby samą siebie, do ręki narzeczonego pochyloną z wdzięcznością — za ofiarę, na jaką dla niej zdobyć się umiała...

— No, ale z tem wszystkiem trzeba światło rozniecić, — odezwał się pan Wiktor nieco głośniejszym, i krzesłem posunął obracając się ku stolikowi, na którym stały zapalniczki.—Już przecie ta szara godzina zupełnie na czarno się ufarbowała!

Gdyby człowiek chciał nos utrząść, pewnieby z chustką nie trafił i kłopotu sobie narobił...

Joasia wstała cicho i zapaliła lampę.

(Dalszy ciąg nastąpi).

FRYDERYK SMETANA i jego „Sprzedana Narzeczona.”

Na szarem tle ogórkowego sezonu pojawiła się nowość wiece zajmująca. Jest nią opera komiczna czeskiego kompozytora Fryderyka Smetany, grana w Teatrze Nowym, z polskim tekstem P. Maszyńskiego. O operze i kompozytorze pisaliśmy już dawniej, warto jednak obecnie daty z jego życia i działalności odświeżyć, i o samem dziele, oraz o jego wykonaniu, umieścić słów parę.

Od czasu nieszczęsnej bitwy pod „Białą górą”, Czechy literackie i poetyczne znikły zupełnie z widowni cywilizowanego świata. Ucisk, martwota i przygnębienie zapanowały wszechwładnie. I muzyka, która wspaniałe posiadała pieśni za hussyckich czasów, nie dawała również znać o sobie; a przecież Czechy są narodem nawskroś muzycznym. Historia odrodzenia czeskiej literatury i poezji w połowie XIX stulecia, przedstawia ciekawy fakt stopniowania, zrazu nieśmiały prób i zabiegów, stopniowo dopiero nabierających pewności siebie i świadomości swych celów. Podobnie rzecz się miała z muzyką, tylko trochę później, i zapewne pod wpływem właśnie poprzedniej kultury. Najlepiej to się okazuje na samym Smetanie, który zapisał dla sprawy muzyki narodowej czeskiej przywiózł dopiero ze Szwecji. Obaczywszy, jak tam pracują, postanowił zespolic się z pracami literatów i poetów swego narodu, i stworzył muzykę dramatyczną czeską, której dalszemi a godnemi przedstawicielami są: Dworzak, Fibich i inni. Pierwszą swą operę napisał mając już 41 lat wieku, za to potem tworzył z wielką szybkością, i siedmiu dziełami scenicznymi wysokiej wartości wzbogacił literaturę muzyczną.

Smetana urodził się w Litomyślu, 2-go marca 1824-go roku, z ojca piwowara. Talent w nim okazał się bardzo wcześnie, jeżeli już jako sześciolatek wirtuoz na fortepianie dał się słyszeć publiczności. Pomimo jednak lekcy, pobieranych u różnych nauczycieli; (w miarę jak rodzice przesiedlali się to do Indrzychowa, to do Ihlany lub Niemieckiego Brodu) i zapewne czynionych dobrych postępów, karyera muzyczna młodzieńca nie była jeszcze zdecydowana. Ojciec sprzeciwiał się temu, z powodu że chciał przeprowadzić wychowanie gimnazjalne; syn zaś—jak się zdaje—zbyt jawnie swoją pracą szkolną przeciw kierunkowi naukowemu protestował. Wido- cznie boska mowa tonów więcej przemawiała do serca Fryderyka, niż mowa Horacego i Sallustjusza. Nareszcie, za wpływem swego stryja, Józefa Franciszka Smetany, profesora szkół w Pilźnie, otrzymuje Fryderyk od ojca zezwolenie na przeniesienie się do Pragi Czeskiej, ale—bez materyjalnego ze strony ojca poparcia. Wówczas to młodzieniec (mimo stryjowskiej pomocy) poznał co głód i potrzeba, ale się nie zraził, wytrwał, i pod kierunkiem Prokscha

pilnie przeprowadził swe muzyczne studia. Piękna jego gra fortepianowa ułatwiła mu stosunki i pozwalała na wydobywanie się z kłopotów onego wreszcie postawiła na nogi; jako wybitny bowiem fortepianista otrzymał Fryderyk kilkoletnie zajęcia nauczycielskie w zamożnym domu hrabiego Leopolda Thuna. Wolny czas od obowiązkowych zajęć poświęcał wtedy z zapałem studiom muzycznym, i w tych kilku latach zdobył tę niepospolitą technikę, jaką w jego orkiestrowej robocie podziwiamy. Zrazu ukazywały się na widok publiczny tylko utwory fortepianowe Smetany, do których wydania zachęcił i dopomógł Fr. Liszt. Wkrótce potem utworzył uwerturę uroczystą i symfonię z *hymnem austriackim*, świadczące, że jeszcze wyższe cele narodowe nie przesiąkały wówczas do duszy muzyka poety. W sześć lat później, w r. 1855, napisał już sześć polek trzymanych w charakterze i rytmie ludowym, oraz Trio na fortepian, skrzypce i wioloncelle. Wezwany następnie na posadę dyrektora Towarzystwa Filharmonicznego w Gothenburgu w Szwecji, spędza tam lat kilka, w czasie których jego talent, twórczość, poglądy na świat i życie, dojrzewają, i czynią go zdolnym do tworzenia dzieł trwałych i wysoce wartościowych. Były niemi już napisane w Szwecyi poematy symfoniczne: „Obóz Wallensteina”, „Ryszard III”. Na pierwszą wiadomość o odradzającej się teatrze w Pradze, opuszcza Smetana korzystną posadę w Szwecji, i pełen zapału dla nowej idei, osiada w Pradze i tam zakłada napowrót (tym razem wspólnie z Ferdynandem Hellerem) szkołę muzyczną. W tym czasie, skomponował Smetana kilka polek, wysokiej wartości, oraz napisał poemat symfoniczny: „Hakon Jarl”.

Lecz tu już zbliża się pora jego najważniejszej działalności muzycznej. Opera czeska czekała na swego odrodziciela, właściwie twórcę. Smetana pisze w 1863 pierwszą operę: „Branibori w Czechach”, opartą na legendach narodowych z wieku XII. Dzieło to, wystawione w r. 1866, jedna mu uznanie ogólne i zarazem daje w ręce batutę opery. W napisanej zaraz potem „Sprzedanej narzeczonej” (Prodana newesta) czerpie autor ze skarbnicy życia ludowego społecznego, i tworzy utwór jedyny w swoim rodzaju, pociągający werwą i melodyjnością ustępów komicznych, a zarazem pełen rzewności w scenach uczucia—nadto bluszczący znakomitemi zaletami faktury. W 1869 ukazuje się op. seryo „Dalibor”, dalej dwie op. komiczne „Dwie wdowy” (1874) „Hubiczka” (pocałunek) (1876), nakoniec uroczysta i wspaniała opera Libusza, napisana na otwarcie narodowego teatru w Pradze. Niestety, jednocześnie z tworzeniem tego wspaniałego dzieła, zaczęło trapić kompozytora największa dla muzyki nieszczęście: głuchota, która zmusiła go do pożegnania się z dyrektorstwem opery, i pozbawiła go nawet możliwości kierowania przedstawieniem inauguracyjnym swego dzieła. Mimo tej strasznej przeszkody, nie przestawał Smetana komponować, napisał właśnie wtenczas cykl wspaniałych obrazów symfonicznych, pod ogólnym tytułem: „ma vlast” (moja ojczyzna), kwartet smyczkowy: „z mego života” (bardzo piękny, w którym w ostatniej części przeprowadza symbolicznie historię swojej choroby) oraz jeszcze jedną operę „Czerstowa stena” (1882). Niestety, trwające długo cierpienie stało się powodem coraz silniejszego rozstroju nerwowego artysty zakończonego obłąkaniem, na krótko przed śmiercią (1884). Nie jesteśmy jeszcze dość obeznani w Warszawie z twórczością muzyczną Fr. Smetany, aby mógł oniej wydać wyczerpujące zdanie.—Z jego poematów symfonicznych, słyszanych kilkakrotnie, przebiega bujna fantazja i wielka orkiestrowa umiętność; drobne utwory, jak owe późniejsze cztery polki, odznaczają się prawdziwie artystycznym opracowaniem. „Prodana Newesta”, obok świeżości motywów i szcześliwie utrzymanego typu ludowego, interesuje robotą instrumentacyjną i nawet kontrapunktyczną w wysokim stopniu. Ale inne dzieła sceniczne „czeskiego Beethowena” nie prędko przedostaną się do nas. Kwartet smyczkowy, który słyszeliśmy w wybor- nem wykonaniu artystów czeskich, jest w ogóle bardzo pięknie napisany, w symbolicznym jednak jego Finale są i pomysły muzycznie dość dziwne, jak np. długie wytrzymanie bardzo wysokiej nuty przez pierwsze skrzypce, mające wyobrażać dzwoni- nienie silne w uchu, zapowiedź głuchoty.

Partytura „Sprzedanej Narzeczonej“ składa się z dwudziestu paru numerów, tworzących zaokrąglone i starannie opracowane całości muzyczne. Jak widzimy, autor nie szedł więc torem Wagnera — zresztą wiele idei tego wielkiego reformatora nie da się ściśle przeprowadzić w praktyce, idea tworzenia całości muzycznych nigdy zapewne z tworzenia dramatycznej wyrugować się nie da, mimo rozmaitych na tem polu modyfikacji. Toż samo będzie zapewne z ansamblami i chórami.

Pomimo bogactwa opracowania w wielumiejscach, „Sprzedana Narzeczonej“ jest — że tak powiemy — operą popularną, w której autor widocznie pragnął być dla jaknajszerszej publiczności zrozumiałym. Uwertura, szeroko pojęta i na bardzo ładnym motywie oparta, znamionuje jednak od razu znakomitego muzyka, który formami szerszemi włada swobodnie i po mistrzowsku. Treść libretta, ułożonego przez Karola Sabina, jest następująca:

Zamożny wieśniak Kruszyna ma córkę Marynkę, którą pora wydać za mąż. Oczywiście rodzice pragną dla niej małżeństwa, odpowiedniego pod względem majątkowym. Tak jest na całym świecie! Otóż jako pośrednik do tej matrymonialnej kombinacji staje charakterystyczna postać — swat — widocznie wśród ludności wiejskiej w Czechach jeszcze dziś czynną rolę odgrywający. Ruchliwa to figura, i nie na żarty pojmująca swoje obowiązki. Pełen swady, energii, stara się on skojarzyć Marynkę związkiem małżeńskim z synem bogatego kolonisty Michała. Kolonista — to przecież arystokracja — więc też swat nie szczędzi argumentów i namów. Jednak ta sama jego energia naprowadza na myśl, że jest tam jakiś ukryty feler w tym stosunku. Pretendenta dla córki — jakoś swat nie przyprowadził — na zapytanie dla czego? tłumaczy, że on jest bardzo... nieśmiały (faktycznie jest on idyotą i do tego jąkałą, więc podobać się nie może). Lecz oto zjawia się i druga poważniejsza przeszkoda: Marynka oświadcza, że kocha już Janka i za innego nie pójdzie. Kim jest Janek? nikt dobrze nie wie — właściwie zaś jest on synem tegoż Michała z pierwszego małżeństwa, który z powodu nieporozumień z macochą dom oddawna opuścił i sam na siebie pracuje... Swat obiecuje temu zaradzić i skłonić Janka do ustępstwa. Jakoż w akcie drugim odbywa się ta główna scena. Janek jest biedny, gdy więc swat Kecal ofiaruje mu aż 300 złotych za ustąpienie praw do Marynki, temu przychodzi na myśl, podwójnie wyzyskać sytuację — bo i bierze pieniądze i zastrzega w umowie najwyraźniej, że Marynkę może wziąć tylko syn Michała, w razie zabójstwa obu stron zgody. Swat, który nie wie, że Janek jest także Michała synem, jest więc w pole wyprowadzony, a Janek, pewny, że się Marynka na Tomka nie zgodzi, jest spokojny o swą przyszłość.

Ta głównie sprężyna prostej bardzo intrygi oczywiście rozwiązuje się bardzo prędko. Marynka wprawdzie chwilowo jest bardzo strapiiona i oburzona postępkami Janka, ale po ślicznym sekście i arii, którą ta mniemana zdrada kochanka wywołała operetkowa boleść Marynki, przechodzi w śmiech i lzy radosne, gdy i ojciec Janka, ucieszony jego widokiem, na małżeństwo się zgadza, zaś głupi Tomek psuje ostatecznie swoją sprawę, zakochawszy się w cygance Esmeraldzie, która „pokazuje sztuki“, i dla której miłości Tomek zgodził się... wleźć w niedźwiedzią skórę, dla odtęgnięcia duetu w zastępstwie strąbionego chwilowo kolegi.

Nastrój więc sztuki jest jak widzimy, bardzo lekki i humorystyczny, intryga czyli mniemana zdrada Janka jest czysto operetkowa — muzyka jednak wznosi się niezaprzeczenie do wyżyn prawdziwego artyzmu. Świeżość motywów wielka, nawet bogactwo nas zachwyca — oprócz tego chóry, ansamble, finały, opracowane z mistrzostwem i prawdziwie *con amore*, dają nam poznać, z jak wybornym muzykiem mamy do czynienia. Ozdobą opery są tańce, które wychodząc ze zwykłego szablonu, przedstawiają nam obraz ochoty ludowej, z jej strojami i ruchami, nie mającymi nic wspólnego z baletową konwencjonalnością. Tańców tych jest trzy: Polka (rodzinny taniec czeski), Furyant (rodzaj walca) i tańczona przez cyganów „Skoczna“, rodzaj galopady (właściwa galopada nazywa się po czesku: kwapik). Rola swata Kecala namalowana jest śmiało, zamszyszcie, z humorem i werwą niepospolitą. Do zna-

komitych i ciekawych pod względem wysokiego komizmu pomysłów należy aria Tomka, połączona z jakaniami. Pierwiastek rzewny i serdeczny bardzo jest ładnie wyobrażony w ariach Janka, Marynki, w poetycznym zakończeniu ich duetu z pierwszego aktu. Orkiestra wybornie użyta, nieraz dowcipna, lubo nie roztańczająca przed nami takich skarbów kolorytu, jakie spotykamy w Smetany poematach symfonicznych. Opera jest sympatyczna dla wszystkich, zaś wysoce interesująca dla muzyków. Nie możemy się zaiste dziwić powodzeniu, jakie spotkało „Sprzedaną Narzeczoną“ przed trzema laty na wystawie wiedeńskiej. Intelligentna publiczność wiedeńska i obca poznała tu jakby nowe źródło ożywcze natchnienia, przedtem zupełnie dla niej zamknięte. Dla tego też opera powyższa otworzyła muzyce czeskiej wrota do świata, czego niedołącznie wystawiane nasze opery uczynić niestety, nie mogły.

Wykonanie w teatrze Nowym uczyniono możliwie dobrem i starannem. Nie szczędzono niczego, aby i całość, i szczegóły wypadły zadowalniająco. Orkiestra w powiększonym komplecie z obniżeniem podium, gra równo i starannie. Pewna delikatność cieniowania dałaby się w wielu miejscach osiągnąć w wyższym stopniu, a byłoby również pożądanem, gdyby można zakupić niektóre lepsze instrumenty dęte blaszane. Chóry przygotowane wybornie. Partye solowe przedstawiają się doskonale. P. Czornowska, którą słyszeliśmy w roli tytułowej, stoi na wysokości zadania, wyposażając swoją rolę w uczucie i zyskując uznanie umiejętnością swą wokalną. Pan Proniewicz śpiewa także bardzo ładnie — głos jego sympatyczny brzmi nutą szczerzego zapału. Pan Misiewicz znów, jako Tomek, tworzy typ nader komiczny i jest tak naturalnym, że przysiad można, iż się niejednego takiego gapia w życiu widziało. Głupim on jest, to prawda — ale zarazem próżnym i kochliwym. Wie, że ma pieniądze — ten najsilniejszy magnes — coś dziwnego, że i do swojej postaci przypisuje część doznawanych (lub udawanych) powodzeń. Pan Dyliński jest pysznym swatem — na scenie go pełno — kręci się, zabiega, perswaduje — dopiero przy końcu sztuki, skonfundowany, znika jak kamfora. Z tego co już dotąd powiedziano widzimy, że oprócz śpiewu, trzeba w wymienionych rolach i grać doskonale — tembardziej, że dialog nieraz tu wchodzi. Jakaż wyborna jest ta strona przedstawienia — wszyscy grają wyśmienicie. Pan Morozowicz oczywiście bardzo jest komiczny jako impresario bandy cyganów — dobre pary stanowią: Kruszyna (p. Rutkowski) z żoną (panną Manowską) oraz Michał (p. Rzecznik) z panią Babińską jako Agatą. Miłutką jest bardzo panna Kawecka w roli Esmeraldy, i bardzo ładnie śpiewa swój śliczny tercetek z panami: Misiewiczem i Turczyńskim. W tańcach, ułożonych przez pana Bergera, specjalnie przybyłego w tym celu z Pragi Czeskiej, odznaczają się w partyach solowych: pani Ostrowska i Rogińska, z mężczyzną p. Walczak.

„Sprzedana narzeczonej“ jest co wieczór „wyprzedana“, liczyć więc może na długotrwałe powodzenie.

Jan Kleczyński.

Z bieżącej chwili.

— Donoszą z Petersburga, iż ministerium rolnictwa w przeciągu czasu od 1-go stycznia do 1-go lipca, udzieliło pozwolenia na otwarcie jedynastu towarzystw gospodarstwa rolnego o czterech oddziałach, Minister, rolnictwa przybył do Niższego Nowogrodu i zwiedził podwładne sobie instytucje, oraz wznoszące się budynki wystawy, mającej się tam odbyć.

— Nowa giełda zbożowa, została otwartą w Petersburgu, ustawa wykazuje, iż celem jej jest zbliżenie i ułatwienie wszelkich transakcji produktami rolnymi. Osoby, uczęszczające na giełdę wnoszą pewną opłatę roczną i tworzą zgromadzenie. Członkami zgromadzenia, mogą też być spółki akcyjne i towarzystwa udziałowe. Przy giełdzie utworzoną zostanie komisja, rozpatrująca wszelkie spory.

— W pobliżu jednego z portów morza Azowskiego, powstaną nowe zakłady metalurgiczne. Ustawa nowego Towarzystwa pod firmą „Azowskie Towarzystwo metalurgiczne“, została zatwierdzoną z prawem, wypuszczania akcyi bezimiennych. Kapitał zakładowy nowego Towarzystwa wynosi 1,380,000 rs., liczy ona głównie na produkcję ferromanganu z rudy kaukaskiej, jako materiału niezbędnego przy produkcji stali.

— Po wykończeniu przez Warszawskie biuro pomiarów jeneralnego planu Warszawy powstał w zarządzie miejskim projekt wykonania z oryginału tego kopii litograficznych. W skutek tego magistrat Warszawski, zawiadomił wszystkie władze i instytucje prywatne, że kopie tego planu, wykonanego o skali 1,250, a obejmującego 650 planszy, objętości 85×64 centymetrów, można będzie zamawiać i otrzymywać za opłatą 400 rs.

— Zapisy na urządzenie nowego Domu wychowywania sierot, zostającego w zawiadywaniu Rady miejskiej dobroczynności publicznej, przedstawiają 100,000 rs.

— W Warszawskim Tow. Dobroczynności, odbyło się posiedzenie wydziału przytułku dla rzemieślników, przez wiek i spracowanie niezdolnych do pracy. Po obliczeniu funduszów, uchwalono otwarcie w dniu 1-go listopada przytułku w domu, wynajętym na pomieszczenie 10 do 12 pensjonarzy, licząc na utrzymanie każdego po 150 rs., rocznie. Posiedzeniu przewodniczył J. Szlenkier, prezes przytułku rzemieślniczego.

— Kolej warszawsko-wiedeńska wysłała, jak co-rocznie, pociąg specjalny dla osób, udających się na odpust do Częstochowy. Pociąg pierwszy wyszedł w d. 14 w środę o godzinie 3 — w nocy; z powrotem, wyruszy z Częstochowy d. 16 o godzinie 9-tej z rana. Kompania, która wyszła pieszo d. 8-go zatrzymała się na nocleg pierwszy w Tarczynie, gdzie nazajutrz odprawiona była uroczysta wotywa, zakupiona przez kompanię. Przeciągnięto przez Grójec, Mogielnicę, Nowe Miasto, gdzie kompania weszła w mury klasztoru kapucyńskiego w uroczystym szyku, z rozwiniętymi chorągiewkami, a niosący je członkowie bractwa mieli na sobie białe komeszyki z różowymi kokardami o długich szarfach. Jedną z pątniczek w białej sukience niosła od bramy miasta na purpurowej poduszce wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej. Na spotkanie kompanii, wyszła kapela złożona z miejscowych mieszczan.

— W dniu 11-ym bieżącego miesiąca w bocznym salonie Towarzystwa sztuk pięknych czwartą została wystawa dwóch obrazów zmarłego malarza Wilhelma Kotarbińskiego. Jeden z nich przedstawia nam świat fantastyczny wierzeń grecko-rzymskich a płótno to jest ogromne, mające dziesięć łokci wysokości a cztery szerokości. Amor, przedstawiony w postaci skrzydatego młodzieńca, unosi Psyche w górę, obejmując ją jedną ręką, a w drugiej trzymając zapaloną pochodnię ślubną. Psyche też skrzydła a skrzydła te są motyle, owiana jest wdzięcznie leciuchną draperią białą; rój białych gołębi unosi się w około, a ona położyła ręce na harfie i wydobywając z niej snadź tony słodkie, słucha Amora, szepejącego jej coś do ucha. Drugi obraz przedstawia tu kontrast silny; jest to płótno o połowę mniejsze, ukazujące widzowi krajobraz cmentarza, po nad którym unosi się „Anioł cmentarny“, jak to tytuł objaśnia. Płynnie on spokojnie w powietrzu, a zda się żaden powiew silniejszy nie narusza tu spokoju, co razem wywiera wrażenie wzruszające.

— Do szkód, wyrządzonych sztuce naszej zaliczyć należy zniszczenie dwóch obrazów Czechowicza „Ukrzyżowanie Chrystusa“ i „Widzenie“, a stało się przez nieumiejętnie odnawiającego je malarza. „Widzenie“ polakierował całkowicie, wskutek czego barwy farb ziemiały i należałoby co najrychlej powłokę tę usunąć, ale trzeba na to specjalisty, który by umiejętnie to uczynił i uratował od zagłady cenne dzieło sztuki naszej. Hr. Stanisław Tarnowski, który miał sposobność widzieć niejedno dzieło mistrzów, obraz „Widzenie“ ocenił jako niepospolicie piękny.

— W kaplicy przedpogrzebowej katedralnego kościoła Ś-go Jana wprawiono okno dużych rozmiarów z obrazem przedstawiającym krajobraz Golgoty. Obraz ten jest pendzlą Józefa Kosiakiewicza.

— Komitet odbudowania Brześcia, rozporządzający sumą przeszło 70,000 rs. nie rozwinął dotąd akcyi dość czynnej. Zaproponowanemu mu zostało, aby zakupiwszy w lasach rządowych budulec za 15,000 rs., zwiózł drzewo do miasta i odprzedawał je pogorzelcom, posiadającym dostateczne fundusze, po cenach rządowych, ubogim zaś dawał bezpłatnie, co byłoby rzeczą wielkiego znaczenia, ale zamiar ten dotąd nie wziął skutku. Budują się przeważnie domy murowane, dwupiętrowe, zaprzestano zaś budowy lepiank z ziemi, które miały być przytułkiem dla pogorzelców ubogich podczas zimy, ponieważ rząd gubernialny pozwolił na wnoszenie tymczasowych baraków drewnianych.

— Donoszą ze Lwowa, jakim jest skład senatu akademickiego tamtejszego uniwersytetu na rok 1895/6. Rektor *magnificus*, a zaprzestano prezesa senatu akademickiego i członka sejmu krajowego, prof. Oswald Balzer, protektor prof. Wojciechowski Tadeusz, ksiądz Józef Komornicki dziekan wydziału teologicznego, prof. St. Starzyński dziekan wydziału filozoficznego, prof. Roman Pilat; ksiądz Eustachy Skrochowski prodziekan wydziału teologicznego; prof. Szezęsny Gryziecki; prof. Józef Puzyna prodziekan wydziału teologicznego prof. Leon Wałęga delegat wydziału prawa i umiejętności politycznych, prof. Wład. Ostrożyński, prof. Ludwik Finkel.

Lód sztuczny.

W czasach, kiedy, wedle ogólnych pojęć, świat składał się z czterech żywiołów, uważano ogień i wodę za dwie siły wrogie względem siebie i dążące do wzajemnego zniszczenia. Co prawda, jeszcze i dziś często ogniem i wodą, tem więcej lodem, oznaczamy dwa wręcz przeciwne zjawiska i zdaje nam się, że one na podstawie zupełnie różnych przyczyn powstają. A przecież ciepło i zimno są dziećmi jednej matki, tak stopień wysokiej jak i niskiej temperatury, są zjawiskami opartymi na temże samem prawie, to jest na drganiu.

Wysoka technika doświadczalna nowszych czasów doszła do tego, że dowolnie ciepło na zimno i zimno na ciepło zamienić potrafi.

Technika ta w szerokim kole przemysłowych celów, posługując się siłą mechaniczną, przy pomocy ognia wytwarza temperaturę niską.

Niektóre działy przemysłu jak: piwowarstwo, fabrykacja drożdży i wszelkie przedsiębiorstwa, mające za zadanie konserwację artykułów spożywczych, oddawna już zimno, to jest lód, uważały za podstawę swego bytu. Lód naturalny, jakiego, nam corocznie zima dostarcza, bywał skrzętnie gromadzony do mniej lub więcej umiejętnie zbudowanych lodowni i przechowywany w tychże do następnej zimy. Nie zawsze atoli zbiór lodu naturalnego wypada pomyślnie, nadto zależnym on jest od wpływów atmosferycznych i nieraz zapasy wyczerpują się przed czasem. Próby zaś sprowadzania, w takim razie, lodu polarnego, rozbijały się o wysokie koszty transportu.

I tak, fizyka stanęła przed zadaniem znalezienia sposobu wytwarzania lodu sztucznego, aby w przemyśle zastąpić nim lód naturalny.

Do jakiego stopnia zadanie to rozstrzygniętem zostało, dowodzą szeregi rozmaitych fabrykacyi, których produkeya nieodzownie wymagająca lodu, niezależną jest dziś zupełnie od trwałości mrozów. Pośpiech w gromadzeniu zapasów lodu staje się zbyteczny, jak również usunięty został kłopot z pomieszczeniem olbrzymiej nieraz masy.

Oprócz wyżej wskazanej praktycznej strony, wytwarzanie lodu sztucznego miało jeszcze cel inny.

Lód stawów, rzek i jezior, nigdy nie jest prawdziwie czysty. Ogromna moc pyłków przeróżnych, pomiędzy którymi nie brak organicznych cząsteczek często wprost wstrętnej, często szkodliwej dla naszego zdrowia natury, bywa przez lód wchłoniętą i przechowaną. Złośliwe mikro-organizmy, po większej części, tylko pozornie w lodzie zanikają, przy

topieniu wracają one do życia i rozpoczynają na nowo zgubną swoją pracę.

Lód sztuczny jest absolutnie wolny od wszelkiej szkodliwej przymieszki, ponieważ woda do niego użyta musi być przez nader dokładne filtrowanie oczyszczoną, przez gotowanie zaś, zostaje pozbawioną wszystkich organicznych zarodków.

Pomimo, że wytwarzanie lodu sztucznego, jest dziś jeszcze, ze względu na kosztą budowania potrzebnych maszyn, rzeczą bardzo kosztowną, maszyny te w ostatnich latach rozpowszechniły się ogromnie. Od roku 1875—do 1891—samo—Towarzystwo akcyjne budowy maszyn do lodu w Wiesbaden, zaopatrzyło 724 zakładów przemysłowych w 1,210 maszyn, które znalazły zastosowanie w różnych gałęziach przemysłu. Fabryka maszyn—„Germania“ w Chemnitz, zbudowała już 330 maszyn do robienia lodu. A oprócz tego wiele poważnych fabryk zajmuje się dziś budową tak pożytecznych maszyn.

Jeżeli wytworzoną, tylko przez wyż przytoczone maszyny fabryki wiesbadeńskiej ilość zimna, zamienimy na lód, otrzymamy 300 milionów centnarów lodu rocznie. To odpowiada 16,300,000 metrom kubicznym, albo lodowemu sześciannowi, którego boki mają 253 metrów długości.

Nie należy zapominać, że jest to produkeya maszyn, wyszłych z jednej tylko fabryki.

Zaden okręt nie przebywa dziś pewnie oceanu nie zaopatrzony w maszynę do robienia lodu a zarazem do ochłodzenia kajut, pod zwrotnikowemi promieniami słońca i do konserwowania zapasów żywności, które, dzięki tej błogosławionej maszynie, podróżni do ostatniego dnia pobytu na okręcie otrzymują świeże i zdrowe.

Przytoczę tu kilka najwykleszych przykładów, objaśniających, jakimi drogami technika dochodzi do otrzymywania niskich temperatur.

Czytelnikom naszym znana jest zapewne mieszanina ochładzająca, która do dziś jeszcze znajduje pewne zastosowanie, a służyła kiedyś do zastąpienia lodu w gospodarstwie domowem, szczególnie zaś przy sporządzaniu słodkich lodów.

Odpowiednia i zastosowywana do tego celu mieszanina składa się: z 5-u części soli amoniakalnej, 5-ciu części saletry i 16-u wody. Za pomocą tej mieszaniny możemy otrzymać obniżenie temperatury — 10 do — 12 stopni Celcjusza.

Za pomocą zaś mieszaniny, złożonej z 2-ch części śniegu z 3-ma krystalicznem chlorku wapna, otrzymujemy temperaturę aż do — 45.

Jeżeli wstawimy w taką mieszaninę naczynie z przygotowaną do zamrożenia potrawą, zamrożenie następuje bardzo szybko. Dzieje się to na tej zasadzie, że mieszanina zimna usiłuje przejść w stan płynny, ku czemu potrzebnem jest naturalnie, aby mieszaninie dostarczona została pewna doza ciepła. Tę dozę ciepła dostarcza zawartość wstawionego w mieszaninę naczynia, która znów (zawartość) na skutek wydzielienia z siebie zapasu ciepła, zamraża się.

Drugi przykład otrzymania niższej temperatury, czytelniczki moje mogą łatwo sprawdzić w następujący sposób:

Nalawszy na dłoń kilka kropel siarczanego eteru, (anodyn) silnie na takową dmuchnąć, (bacząc by nie być w bliskości ognia, albowiem eter jest nader łatwo palnym).

Nadzwyczaj lotny eter znika i na rękę uczuwaamy dotkliwie zimno.

Z czegoż to powstaje? Oto eter, ze stanu płynnego zamienia się w gaz i do tej zamiany potrzebowywa pewną dozę ciepła, które wchłania z naszej ręki.

Jak dawną jest znajomość tego sposobu ochłodzenia, widzimy to u Egipcyan, którzy od starożytności przechowali zwyczaj ochładzania ciepłej wody z Nilu, za pomocą prostego naczynia z wypalonej a niepolewanej gliny, zwanego „Gulla.“ Przez porowatą glinę woda przesiąka zwolna, a lekki przewiew powietrza zamienia ją na parę, wskutek czego pozostała w naczyniu stopniowo ochładza się i staje się możliwą do picia.

Ciała nasze jest także podobnego ustroju ochładzającą maszyną, w miejsce dziurkowatej skorupy glinianej, opatrzeni jesteśmy skórą o niezliczonej ilości porów, które bezprzestannie przepuszczają pewną dozę wilgoci zamieniającą się na parę.

Niejedną z moich czytelniczek, chłodząc wachlarzem zaróżowioną twarzyczkę, nie wie może, iż rozgrzane jej policzki pełnią czynność maszyny ochładzającej. Ruch powietrza, wywołany przez poruszenia wachlarza sprowadza silne parowanie występujące z porów twarzy wilgoci, przez co twarz rozgrzana szybko się ochładza.

Ta zdolność parowania naszej powłoki jest najpierwszym warunkiem, który pozwala nam znosić dolegliwe upały, ona to utrzymuje w mierze wewnętrzną temperaturę naszego ciała, tak że przy normalnym jego stanie, podczas największych skwarów, pozostaje ona prawie bez zmiany.

Z przytoczonych tu przykładów widzimy, że najłatwiej jest otrzymać obniżenie temperatury przy zamianie jakiegoś płynu w stan lotny. To zjawisko stało się też podstawą omal wszystkich maszyn wytwarzających zimno.

W ostatnich czasach jeszcze jeden spożytkowano na to sposób.

W maszynach wierzących, poruszanych ściśniętym powietrzem, jak np. w świdrujących maszynach, użytych do wierzenia tunelu w górze Cenis zauważono, że ściśnione powietrze, przy wychodzeniu z cylindra maszyny, jest mocno ochłodzone.

Zjawisko to było dla pracujących przy maszynie wielce pożądanem, albowiem cierpieli bardzo z powodu gorąca wzmagającego się w posuwającym się coraz dalej, a zamkniętym jeszcze tunelu.

Zbadano to zjawisko bliżej i uzyskano pewność, że przy przejściu silnie ściśniętego powietrza, w powietrze o słabem ciśnieniu, konieczną jest wielka ilość ciepła, przez co i to zjawisko służyć może do wyradzania znacznej dozy zimna.

Przypomnijmy sobie raz jeszcze przytoczone tu przykłady a zobaczymy, że obniżenie temperatury otrzymujemy albo przez przejście ciał stałych w płynne, — albo płynnych — w lotne, lub też gazów o wysokim ciśnieniu w gazy o ciśnieniu słabem.

Dwa ostatnie zjawiska stanowią głównie zasadę, na której budują dzisiejsze maszyny do wyrabiania lodu.

Wejdźmy do takiej fabryki.

Przedewszystkiem widzimy parową maszynę, która, jakby bawiąc się, porusza olbrzymie rozpędowe koło. Na przeciwnym końcu głównej osi maszyny znajdują się drażki przekładniowe do pomp zgęszczających. Pompy te łatwo dają się zauważyć, ponieważ prowadzące do nich rury okryte są szronem, który stopniowo zamienia się na lodową powłokę. Działalność pomp polega na ssaniu pary amoniakalnej z tak zwanego „generatora“ i o tyle silnem jej zgęszczeniu, ażeby ponownie przeszła w stan płynny. Woda ochładzająca, która ciepło powstałe przy zgęszczaniu pochłania, działa tu pomocniczo. Czem silniejszym jest działanie pompy i czem niższą temperaturą gazów amoniakalnych, tem szybciej następuje przejście ich w stan płynny.

Wspomniany generator ma na celu produkowanie gotowego już lodu w kawałach i składa się ze skrzyni z kutego żelaza, obitej drzewem, z dna której wznosi się długa węzownica (rura o węzowych zagięciach). W tej węzownicy znajduje się płynny amoniak, wtłaczany tu przez pompy, pod silnem ciśnieniem. Ponieważ w węzownicy panuje ciśnienie słabe, wkrótce więc amoniak ulatnia się w niej i spotrzebowywa ciepło zawarte w roztworze soli, pokrywającym węzownicę.

W skutek tego znów, roztwór soli przyjmuje temperaturę niższą od punktu zamarzania wody, sam jednak pomimo to nie zamarza.

W oziębiony roztwór soli w generatorze zanurza się podłużne, zwykle czworoboczne formy, wypełnione wodą, przeznaczone na zmarznięcie. Rycina Nr. 1 przedstawia napełnianie wodą, wzniesionych ponad generator form, które następnie lewar, poruszany przez samą maszynę, zatapia w generatorze.

Kiedy już (stosunkowo w bardzo krótkim czasie,) woda przyjmie postać znanych pryzm lodowych, formy zostają z generatora uniesione i na chwilę zanurzone w letniej kąpieli, aby się lód, szczerlnie przylegający do ścian formy, obtopił nieco.

Następną czynność, to jest wypróznianie form przedstawia rycina Nr. 2.

Jeżeli lód nie jest zaraz na żądanie odstawiany, zostaje owinięty wełnianymi derkami i we właściwym na to miejscu przechowywany.

Do fabrykacji lodu potrzebny jest jeszcze kondensator, (aparat do zgęszczenia) składający się z kilku wężownic, po powierzchni których spływa ciągle zimna woda. W kondensatorze tym, przy współdziałaniu pomp zgęszczających, pary amoniaku zgęszczają się, aby potem w generatorze na nowo przechodzić w stan lotny.

Dalej, do fabrykacji lodu koniecznym jest aparat dystylacyjny, ażeby ze zwykłego, znanego w sprzedaży roztworu amoniaku, w którym amoniak pochłoniętym jest przez wodę, otrzymać go w postaci czystego gazu.

Dochodzimy do tego za pomocą dystylacji gazu z roztworu, która niezbędną jest z tego względu, że przy działaniu maszyny pewna część gazu amoniakalnego, nieprodukcyjnie zostaje straconą, ta zaś musi być zastąpiona nową.

Lód otrzymany sztucznie bywa dobroci różnej i oznacza się mianem krystalicznego lub mętnego. Różnica powstaje z tej przyczyny, że czasami do wody przedostaną się kulki powietrza, te w niej zamarzają i tworzą lód białawy i nieprzezroczysty. Aby otrzymać lód doskonale krystaliczny należy bezpośrednio przed napełnieniem form, wodę wygotować. Lód krystaliczny nie tylko, że ma pozór piękniejszy ale nadto jest o wiele mniej topliwy.

Dotąd amoniak jest główną podstawą fabrykacji lodu. Próby z kwasem węglowym, siarczanym i eterem nie wykazały wyższości; nie idzie jednak za tem, żeby miały być stanowczo rozstrzygnięte.

Maszyny do fabrykowania lodu użyte być mogą i do innych celów. Często służą jedynie do ochładzania składów z artykułami spożywczymi, piwnie i t. p. miejscowości, ku czemu spożytkowywa się zimny roztwór soli, znajdujący się w generatorze. Roztwór za pomocą pomp przechodzi do rur, przewodzonych w ścianach i sklepieniach, z kąd znowu wraca do generatora, aby oziębić się ponownie.

Zwykłe maszyny produkują na godzinę 75 do 2,000 kilogramów lodu, nie jest to wszakże najszybsza produkcja, jaką osiągnąć można. W browarze w St. Louis istnieje maszyna o sile 600 koni.

Rozpowszechnianie się maszyn do robienia lodu wymownie dowodzi do jakiej wysokości doszła technika w naszych czasach. Wynalezienie tych maszyn wywrze bezsprzecznie wpływ na rozwój przemysłu, którego produkcja bez niskiej temperatury obejść się nie może i niezawodnie w niedługim już czasie maszyny te znajdą bardzo szerokie zastosowanie.

Z. S.

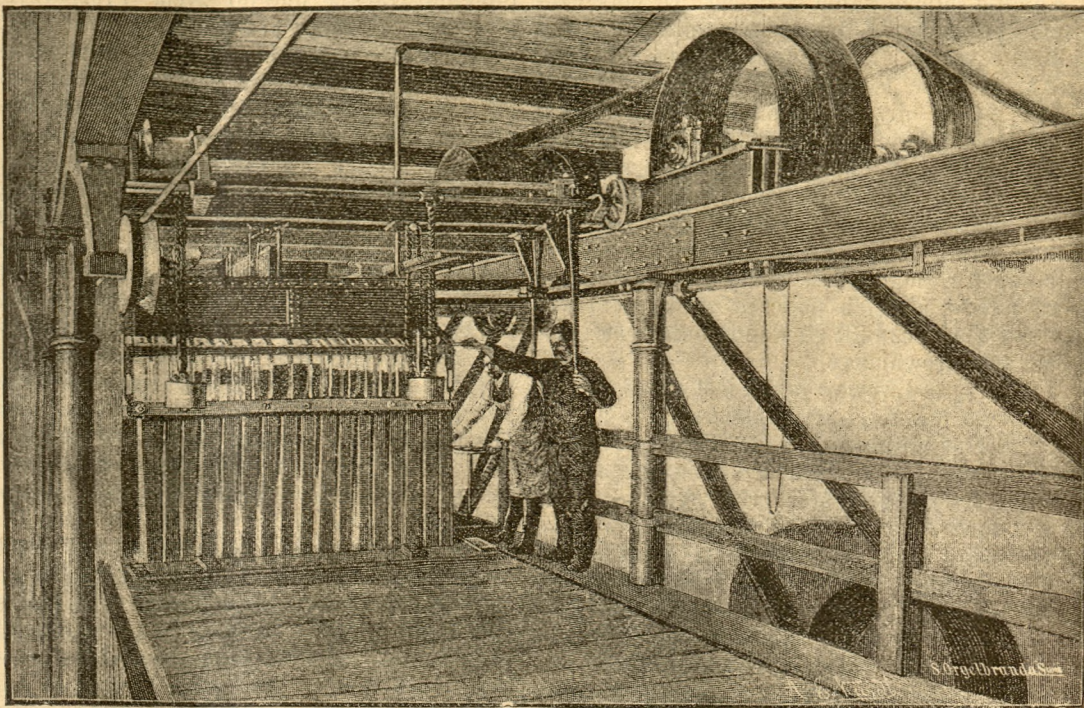


Fig. 1.

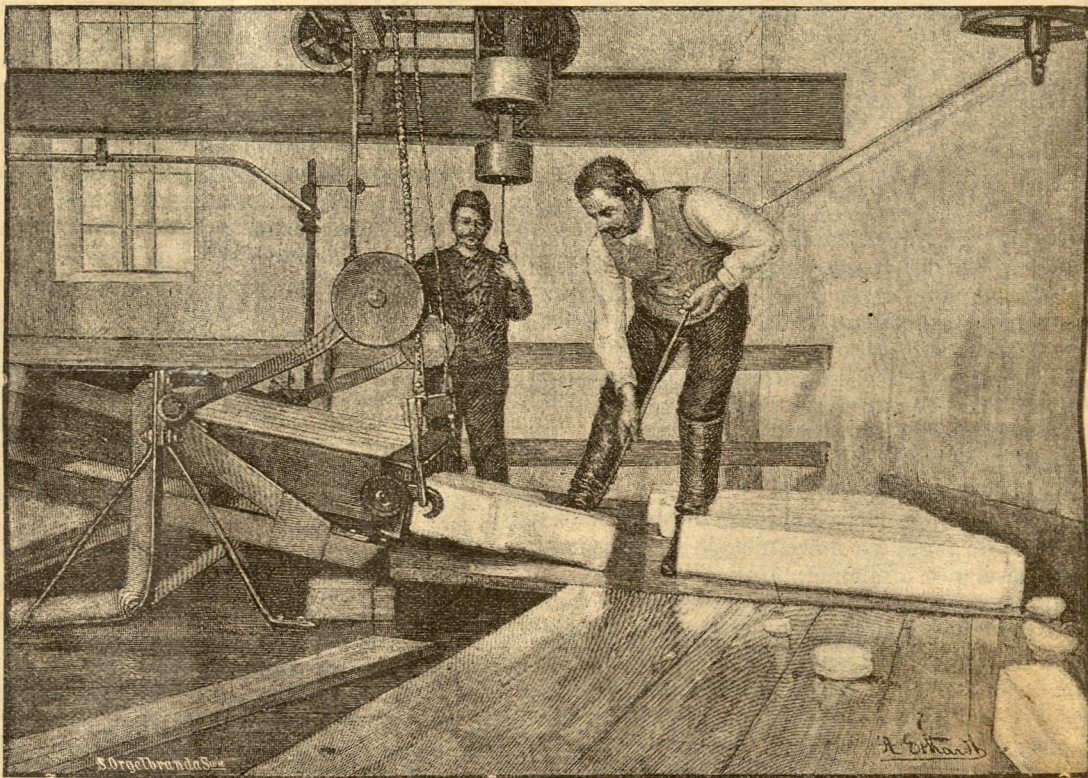


Fig. 2.

Zdania i przypowieści Plutarcha.

— Spartanin Gerodotas zapytany przez obcego przybysza, jakie są w Sparcie kary za niewierność małżeńską, odpowiedział, iż w zbiorze praw, rządzących niemi, wcale ich nie ma. A gdy ów cudzoziemiec zadziwił się temu, usłyszał odpowiedź, iż nie są one potrzebne tutaj, gdzie nie przywiązuje się wagi żadnej do majątku, bo gardzą tu zbytkiem, używaniem i tylko męstwo ducha, posłuszeń-

stwo prawu i ład moralny są cenione, jako skarby drogie, małżeństwa łączą się więc przez węzeł miłości i w miłości tej trwają.

— Gdy niektórzy grecy podziwiali bogactwo szat i sprzętów, które persom, jako łup wojenny zabrali, sędziwy jeden spartanin orzekł, że gdyby tak nie było, zwyciężonymi by nie zostali.

— Archidamos zadał raz spartanom zapytanie, kto jest między niemi najwyższym i najbardziej szanowanym? „Prawo i ci, którzy najwierniej przy nim stają—którzy go nie łamią nigdy...” odpowiedzieli. Ateńczyk jeden zapytał też raz spartanina,

jak może wybierać się na wojnę tak wesoło? A ten mu odpowiedział: „Ponieważ uczymy się od dzieciństwa życie nasze szacować, ale i nie lękać się jego utraty.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: powieść **Skaza na honorze** przez M. Betham-Edwards. Przekład z angielskiego, ark. 1.

TREŚĆ: Pogawędka, przez ?? — Na skrzydłach pary, przez Selima. — W codziennej walce powieść współczesna St. Ariel. (dalszy ciąg). — Fryderyk Smetana i jego „Sprzedana Narzeczona“, przez Jana Kleczyńskiego. — Z bieżącej chwili. — Lód sztuczny (z dwoma rysunkami). — Zdania i przypowieści Plutarcha.

Dodatek obejmuje: **Skaza na honorze**, powieść przez M. Betham-Edwards, przekład z angielskiego ark. 1. — Przegląd mód. 25 wzorów i robót z opisem. — Sekrety gospodarskie. — Dyspozycja stołu.